

W nocy wykonaliśmy wykop pod fundamenty na kaplicę i zalaliśmy betonem. Rano była już na miejscu milicja

Z Gerardem Drobny, ostatnim sołtysem nieistniejącej już Ligoty Tworkowskiej, rozmawiamy o historii tej niezwyklej wsi, dramacie wielkiej powodzi z 1997 roku oraz przesiedleniach pod budowę Zbiornika Racibórz Dolny.

Red. - Jest pan ligocikiem od urodzenia, czy przeprowadził się pan z innej miejscowości?

Gerard Drobny. - Tak, urodziłem się w Ligocie Tworkowskiej i moja rodzina też pochodzi z tej miejscowości. Była to rodzina rolnicza. Ojciec urodził się 1923 roku w Polsce, służył w wojsku niemieckim, a moja matka pochodzi z Niemiec, bo z Bieńkowic w powiecie raciborskim „za Odrą”. Więc to były tereny niemieckie.

- Jak wyglądała Ligota za czasów pana młodości?

- Była to mała miejscowość, do której dużo ludzi przyjeżdżało. Ligota miała park, kaplicę, było też miejsce z odpowiednim podium, gdzie organizowało się festyny. W okresie letnim odbywały się koncerty w prawie każdą sobotę. Organizatorami byli mieszkańcy, którzy o wszystko dbali. Ochotnicza straż pożarna powstała w 1940 roku, również z inicjatywy mieszkańców wsi. Podobnie było w przypadku rozbudowy kaplicy z 1903 roku.

- Administracyjnie byliście w granicach Polski, ale wieś miała związek z Tworkowem, sama nazwa Ligota Tworkowska na to wskazuje.

- Ligota była częścią parafii w Tworkowie, w której mój ojciec został ochrzczony. Tak jak już wcześniej mówiłem, to były tereny niemieckie. Ksiądz z Tworkowa odprawiał też czasem nabożeństwa w kapliczce tworkowskiej. Później po wojnie zostaliśmy przyłączeni do parafii w Lubomi. W niedzielę przez wikariusza czy proboszcza z Lubomi, w naszej kaplicy sprawowana była jedna msza. Później zostaliśmy włączeni do parafii Buków, było to w 1971 roku.

- Wracając do życia w Ligocie w okresie pana dzieciństwa, jak to wyglądało?

Lubomia była wielka, tam przyjeżdżały autobusy. My mieliśmy łączność Tworkowa z Raciborzem nieco utrudnioną. Trzeba było przepłynąć Odrę łódką do Tworkowa, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Stamtąd pociągi odjeżdżały do Chałupek i Raciborza. Uczniowie szkół raciborskich tak właśnie docierali na lekcje.

- Czyli była zatrudniona osoba, która obsługiwała taką łódź?

- Dokładnie tak. Było ich nawet kilku. W parku stało takie specjalne pomieszczenie, „budka” można powiedzieć, w której pełnili dyżur. Stał tam też piec, bardzo miłe ją wspominamy. Jak ktoś przyjechał z Tworkowa i chciał skorzystać z łodzi, to musiał uderzyć w takie specjalne żelazo i wtedy dyżurujący słyszał. Dużo ludzi przychodziło do nas z Tworkowa na zabawy, które organizowaliśmy, co też miło wspominam. Na takich festynach kręciliśmy „Zuzkę”, były tańce, muzyka itd. Czasami pozwolono nam, młodzieży, przewozić ludzi i pobierać od nich pieniądze. To była wielka frajda.

- Do której godziny funkcjonowała taka możliwość przepłynięcia?

- To zależało od ostatniego pociągu, który przyjechał do Tworkowa, wydaje mi się, że do około 21.00, może 22.00. Można było jednak indywidualnie dogadać się z tym panem obsługującym łożź na konkretną godzinę, kiedy ktoś np. wracał z „zolyt”.

- Ile osób mieszkało wtedy w Ligocie?

- 160 - 170 osób.

- A podczas końcowej wysiedlenia?

- 10 - 20 osób.

- W Ligocie była też kuźnia.

- Tak, prowadził ją Henryk Kurzydym. To był „człowiek orkiestra”, który różne rzeczy prowadził w naszej miejscowości. Miał funkcję kościelnego i to on zainicjował rozbudowę kaplicy, był też komendantem straży pożarnej. Na początku ta kapliczka była bardzo mała, później w latach 60-tych ubiegłego wieku myśmy ją rozbudowali. To były lata bardzo mocno komunistyczne, dlatego razem z mieszkańcami wsi pod osłoną nocy wykonaliśmy wykop pod fundamenty, które zalaliśmy betonem. Rano na miejscu była już milicja obywatelska. Funkcjonariusze próbowali ustalić, kto to zrobił. Nakazano nam wszystko zakopać, co też zrobiliśmy. Kiedy sytuacja ucichła, postawiliśmy dwa słupy, na to oparliśmy belki i wykonaliśmy dach. Była to taka prowizoryczna wiata. Później została odprawiona tam msza. Sytuacja się uspokoiła, wybudowaliśmy mury no i powstał kościółek, który został do końca istnienia wsi. Msze w ligockim kościółku były odprawiane w niedzielę i dwa razy w tygodniu (wtorek i piątek).

- A jak wyglądało ówczesne rolnictwo, pewnie każdy robił na swoim polu?

- Były gospodarstwa od 1 do 5-6 hektarów. Był też wielki PGR w Ligocie, w którym hodowano krowy i konie. Później kupił to prywatny właściciel i dalej kontynuował działalność rolniczą. Pracowali tam ludzie z naszej wsi. My również mieliśmy pole, dziadek był rolnikiem i tata też, później rozpoczął pracę na kopalni. Ja również pracowałem na kopalni, ale w dalszym ciągu zajmowałem się rolnictwem, jak mój ojciec i dziadek.

- Dużo ludzi pracowało na kopalni?

- Dostyc dużo, głównie na KWK Anna w Pszowie.

- A później przyszedł temat budowy zbiornika?

- Ten temat toczył się już od dawien dawna. „Starziki już godali” o takich planach. Wszystko nabrało tempa po tej słynnej powodzi w 1997 roku.

- Ligota ciągle była doświadczana przez powódź. Nie było wału, rzeka była bardzo blisko domów. Czym się różniła ta powódź w 1997 roku?

- Powodzie były prawie każdego roku. Myśmy doskonale wiedzieli, kiedy będzie wylewać rzeka. My wiedzieli, kiedy mamy gorzółka pić, a kiedy mamy uciekać (śmiej). Na przykład jeżeli padało, chmury były nisko i „szły” w kierunku gór, to wiedzieliśmy, że „przyjdzie woda”. W 1985 roku była jedna z większych powodzi, wtedy miałem w stodole „na gumnie” 15 ton cementu bo chciałem budować dom. Na szczęście do stodoły nie przyszła woda, brakowało 20 cm. W późniejszym czasie nastąpiły podtopienia i powódź. Ale tak jak mówiłem, bo byłem też strażakiem, wiedzieliśmy jako strażacy, kiedy przyjdzie podtopienie, czy powódź. Jeżeli np. rzeka

niosła całe drzewo, to było już wiadomo, że wody jest więcej. Niestety było rzeczą naturalną, że ta najniższej położona część Ligoty zawsze zostanie zalana. Woda wlewała się na posesje, do domów, do piwnic. Ja mieszkalem wyżej i nie miałem takiego problemu.

- To jak wyglądała powódź w 1997 roku?

- To już była tragedia, bo zalało wszystkich i nie można było tego nazwać podtopieniem. Dla nas to, że mamy wodę w piwnicy, zawsze było rzeczą normalną, ale podczas tej powodzi wszystkim mieszkańcom zalało część mieszkalną. Ja w pokojach nie miałem wody, brakowało około 20 - 25 cm.

- Proszę powiedzieć, ile dni trwała powódź w 1997 i jak to wszystko się zaczęło?

- Najpierw były ulewne deszcze, ale opady zakończyły się. Wzięliśmy łódź i pojechaliśmy zrobić rozpoznanie w terenie. Nagle pojawiła się chmura, inne się obniżyły i zaczęło lać. Wtedy już widzieliśmy, że trzeba uciekać. Woda weszła do wsi w poniedziałek i zaczęła się podnosić. Ratowaliśmy świnie, krowy, silniki. Dawaliśmy to na strych, ale później się poddaliśmy. Potem przyjechała straż zawodowa i wojsko z amfibią ewakuować ludzi, którzy byli w najtrudniejszej sytuacji. Doszło do bardzo poważnej sytuacji. Kierowca amfibii nie znał terenu, jechali po polach w stronę Lubomi (Paprotnika). Ja i sąsiad poszliśmy spać i nagle zauważyłem jakieś dziwne ostre światło, jak się później okazało, to zepsuła się amfibia. Spadł jeden z łańcuchów, a było za mało wody aby jechać „na śrubie”. Oni się tylko kręcili wkoło. Ja i sąsiad przeprowadziliśmy akcję. Wzięliśmy łódź i liną przywiązaliśmy do urządzenia, które służyło do ładowania obornika i ściągnęliśmy tę amfibie. Następnie trzeba było przeładować tych ludzi, były tam też małe dzieci.

- Można to sobie wyobrazić, wszystko zalane, jak na morzu i noc.

- Tak, to była godzina 23. Było to dla tych ludzi ogromne przeżycie i strach. Znajdowały się tam osoby z małymi dziećmi. U nas wytworzyła się w sposób naturalny wyspa z obornika. Strażacy dostarczali tych ludzi na tę wyspę, a my nosiliśmy ich na plecach do mojego domu. Wszyscy byli przemoczeni. Ostatnim był żołnierz, który kierował amfibią. Musieliśmy mu dać jakiś ubiór, ogólnie to wszystkie moje ubrania im daliśmy. Żołnierz nawet wziął moje „arbaje”, czyli odzież roboczą. O pierwszej godzinie jedna z mieszkanek poprosiła o pomoc, bo jej dziecko było głodne i płakało. Trzeba było odgrzać mleko. Zrodziło się pytanie, gdzie i jak to zrobić. Nie było prądu ani gazu. Sąsiadka dysponowała butlą gazową, więc wziąłem butelkę i w tej nocy poszedłem do niej. Proszę to sobie wyobrazić, miałem wtedy pod pas a czasem aż pod piersi wody, która była rwąca. Trzeba było iść obok płotu i się trzymać elementów ogrodzenia. Jak to zgrzaliśmy, to dałem butelkę „za kobot”, czyli pod odzienie i wróciłem do domu. Okazało się, że mleko było już zimne (śmiech). Jakoś przeżyliśmy do rana. Część mieszkańców podjęło decyzję, że nie będą się ewakuować i zostają na miejscu do końca. Rano przyleciał helikopter i pojawił się kolejny problem, pod wpływem śmieci wszystkie dachy zaczęło zrywać. Machaliśmy tym pilotom, żeby odlecieli.

Pamiętam też drastyczne rzeczy np. widok psa, który płynął z prądem razem z budą, z prądem płynęły martwe konie, krowy, kozy.

Następnie przyplłynęła straż na łodziach z silnikiem i tym sprzętem brali ludzi do Lubomi. Woda zaczęła opadać w czwartek, a my w niedzielę mieliśmy iść na wesele i poszliśmy (śmiech). Wzięliśmy ciuchy eleganckie do torby i pojechaliśmy traktorem. Wody było aż pod maskę. W Lubomi wzięliśmy kąpiel, założyliśmy ubrania i poszliśmy się bawić (śmiech).

- Skąd mieliście pożywienie?

- Każdy miał swoje zapasy w domu. To była inna sytuacja niż teraz. Każdy miał słoiki, ziemniaki. Straż dowoziła chleb i inne produkty.

- Jak wyglądała wieś po „zejściu” wody?

- Tego widoku nie można opisać. Jak woda schodzi, to trzeba ten muł nagromadzony od razu łopatami zgarniać. Wszyscy domownicy muszą brać łopaty, miotły i zmiatać. Wszystko to co naniósł woda, np. w piwnicy czy na placu. Tego było około 20 cm. Kto „przespał” tę sytuację to miał bardzo ciężko, bo wtedy trzeba było czekać aż to zastygnie. Po zejściu wody na płotach i placu zostawał muł. Było też bardzo dużo ryb ze stawów, ale one nie nadawały się do jedzenia. Widzieliśmy także taki przypadek jak ten, że krowa wisiała na drzewie, padnięte krowy, świnie i inne zwierzęta w chlewach u osób prywatnych.

- Później ruszył temat budowy zbiornika.

Tak, później tak się stało. Najpierw nam dali pożyczki na bardzo mały procent, żebyśmy dokonali remontu, a po trzech, może pięciu latach padło hasło, że się wysiedlamy. Powstał komitet przeciwko budowie zbiornika. RZGW wpadł na fajny pomysł i wszyscy ci, którzy nie chcieli już mieszkać, bo np. mieli tu domy, ale fizycznie byli w Niemczech, mieli możliwość sprzedaży swoich działek. Wysiedleni zostali również ci, którzy się bali kolejnej powodzi i podjęli decyzję, że nie chcą już mieszkać w Ligocie. To nie były wielkie pieniądze. Te osoby dostały 2,5 złotego za metr kwadratowy pola. My, którzy odchodziliśmy ostatni, dostaliśmy 6 złotych. Teraz już emocje opadły i każdy żyje swoim życiem.

- Jaka była ta końcówka Ligoty?

Wysiedleni pozostawili obiekty, które zostały kolejno wyburzone. To wyglądało jak po wojnie. Teraz jadą tam i nie ma już po niczym śladu. Choć my, starzy mieszkańcy doskonale pamiętamy i wiemy, gdzie stały wszystkie nasze budynki.